



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisława Gliniewska z d. Ostrowska

## Więźniarka nr 86144

Urodziłam się w 1929 roku w rodzinie robotniczej, jako najmłodsze, czwarte dziecko Władysława i Józefy Ostrowskich. Tworzyliśmy bardzo szanującą się rodzinę. Ojciec pracował w warszawskim ogrodzie zoologicznym, matka pomagała w utrzymaniu pracując dorywczo. Mieszkaliśmy w Warszawie przy ul. Pawiej 102 m. 14.

W roku 1936 rozpoczęłam naukę w szkole powszechnej nr 196 im. Ignacego Mościckiego przy ul. Okopowej i kontynuowałam ją do wybuchu wojny. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Warszawy budynki szkolne zostały zajęte na kwatery dla żołnierzy. Pozostały tylko szkoły w mniejszych budynkach. Moi rodzice podjęli starania, aby umieścić mnie gdzie indziej, ale i tak straciłam cały rok 1939/40. Po mini-egzaminie zostałam przyjęta do klasy piątej w szkole nr 8 przy ul. Karolkowej. Program nauczania był w tym czasie bardzo okrojony. Zabroniono nauczania historii, geografii, języka polskiego, a także korzystania z podręczników do tych przedmiotów. Zamiast tego otrzymywaliśmy jako pomoc szkolną kwartalnik „Ster” redagowany pod kontrolą okupanta. Nauka w tej szkole trwała jednak krótko, bowiem i ten budynek został zajęty na kwatery dla wojska.

Rok 1941 okazał się bardzo ciężki dla całej mojej rodziny. Dom, w którym mieszkaliśmy, mieścił się na terenie Getta, którego obszar wyznaczony był przez władze okupacyjne. Niemcy nakazywali Polakom mieszkającym na tym terenie, aby zamieniali się na mieszkania z ludnością żydowską przebywającą dotąd po stronie aryjskiej. Zamiana miejsca zamieszkania okazała się kłopotliwa i uciążliwa. Brak możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb dawał się we znaki we wszystkich dziedzinach życia codziennego. Najgorszy był brak żywności i opalu, co miało fatalny wpływ na nasze zdrowie. Trudne warunki sprawiły, że rodzice zdecydowali się na wyprzedawanie cenniejszych ubrań. W Warszawie popyt był niewielki, więc aby uzyskać wyższą cenę trzeba było wywieźć nowe rzeczy poza miasto. Pierwszy padł ofiarą nowy gabardynowy płaszcz ojca, kupiony tuż przed wybuchem wojny. Mamie udało się sprzedać parę rzeczy w okolicy Opola Lubelskiego. Po uzyskaniu pieniędzy kupiła trochę żywności i chciała wrócić do Warszawy. Trasa powrotna wiodła ze stacji Nałęczów przez Dęblin, gdzie wojsko niemieckie dokonywało rewizji, odbierając pasażerom wszystko, co mieli przy sobie. W ten sposób mama straciła i ubrania i żywność, którą dla nas wiozła. Nieludzkie warunki sprawiły, że moja 18-letnia siostra Zofia zachorowała i 29 grudnia 1941 roku zmarła.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej transporty wojskowe kierowano na wschód i reszta mniejszych budynków szkolnych została zajęta na kwatery. W efekcie dzieci z różnych szkół uczyły się w jednym budynku. Czas nauki został skrócony do 2 godzin dziennie. Ja rozpoczynałam zajęcia o godzinie 15, więc kiedy wychodziłam było już ciemno. Kierownik szkoły Ryszard Rysak starał się o inną

lokalizację i w 1942 roku otrzymaliśmy budynek pofabryczny znajdujący się na terenie Getta przy ul. Żelaznej 95c. W tym czasie obszar Getta zmniejszał się, gdyż systematycznie ubywało w nim ludności żydowskiej. Kiedy mieszkaliśmy przy ul. Pawiej, w sąsiednim mieszkaniu pod numerem 15 przebywała rodzina żydowska Lipstättów – wdowa z dziećmi. Najstarszy syn Abram wyjechał na wschód, młodszy Jojne był prawdopodobnie niesprawny umysłowo. Trzeci – Marek, był moim dobrym kolegą. Jeszcze młodszy był Zelek, a najmłodszy Chaimek przygotowywany był dopiero do szkoły. Abram po wojnie szukał wszystkich z rodziny, którzy mogliby przeżyć. Co do Marka, udało mu się mnie odnaleźć na stronie aryjskiej, gdzie poszukiwał jedzenia dla Zelka i Chaimka. Miał przyjść następnego dnia – nie przyszedł. Nie mam o nim wieści. Wśród sąsiadów zaprzyjaźnionych ze mną była także Ryfka Joskowicz, o której wiem, że wyjechała na Węgry. Po wyprowadzce z Pawiej brakowało mi najbardziej właśnie Ryfki i Marka.

Naukę na poziomie podstawowym ukończyłam w 1943 roku. Następnie starałam się dostać do szkoły ekonomicznej, która mieściła się przy ul. Zielnej. Z powodu braku pomieszczeń w jednym budynku gnieździło się kilka szkół. W mojej zajęcia miały się rozpoczynać o godzinie 16. Okolice ulicy Zielnej były bardzo niebezpieczne, a wieczorne powroty ryzykowne, więc rodzice zdecydowali, że w najbliższym roku nie będę chodziła na naukę. Mieli nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy sytuacja się zmieni i wtedy będę mogła kontynuować edukację. Niemcy bardzo jednak pilnowali, by każdy młody człowiek, który przerwał naukę, podjął pracę na miejscu lub wyjechał do pracy przymusowej do Rzeszy. Ojciec miał Kennkartę i załatwiał wszystkie rodzinne sprawy, toteż w moim imieniu zgłosił się do Arbeitsamtu. W ten sposób otrzymałam przydział do szwalni, gdzie miałam szyć koszule dla wojska niemieckiego. Budynek szwalni mieścił się przy ulicy Raszyńskiej, daleko od mojego miejsca zamieszkania, więc ojciec poprosił o zmianę przydziału. Wówczas skierowano mnie do pracy do fabryki „Telefunken” przy ul. Mireckiego, zajmującej się produkcją aparatów radiowych. Pracowałam tam jako lutownicza od 1 listopada 1943 do 20 lipca 1944 roku. Także mój najstarszy brat Jan był objęty obowiązkiem pracy. Zatrudniony był w fabryce maszyn rolniczych przy ul. Ogrodowej 52. Ze względów bezpieczeństwa w 1943 roku odprowadzałam go do pracy, bojąc się łapanek.

Po wybuchu Powstania Warszawskiego z okien domu, w którym mieszkałam widziałam jak płonie Wola. Z powodu wstrzymania produkcji po 1 sierpnia moi bracia, 23-letni Jan i o trzy lata od niego młodszy Józef nie mogli być w pracy, ale przekonali mamę, że tam właśnie się udają. Tymczasem za wiedzą ojca byli w swoich zgrupowaniach. Józef poszedł na Staszica, poczym wrócił do domu 6 sierpnia, a Jan na Wroniej, skąd wrócił dzień później. Ludzie wypędzeni z domów maszerowali w tłumie w kierunku Dworca Zachodniego. Mężczyźni szli z podniesionymi rękoma, a kobiety, starcy i dzieci dźwigali to, co udało im się ocalić z ich dobytku. Do naszego domu 10 sierpnia wkroczyli Ukraińcy w mundurach niemieckich i trzymając w rękach karabiny i granaty krzyčili: „Ruki w wierch, uchadi, pośledni ubij”. Moi bracia, zmęczeni po akcji, razem z resztą rodziny zostali wypędzeni z domu, aby potem przejść przez obozowe piekło. Ukraińcy spalili dom przy pomocy miotaczy ognia. Nawet nie wiem, czy wszyscy mieszkańcy zdążyli wyjść. Pod eskortą niemiecką pędzono nas w kierunku zachodnim. Kiedy dotarliśmy na teren taboru kolejowego w Pruszkowie, jedną noc przesiedzieliśmy na torach. Rano podstawiono pociąg towarowy, w którego wagony wtłoczono ludzi koczujących na torach, a następnie drzwi zaryglowano. Pociąg ruszył w nieznanym nam kierunku.

Dnia 12 sierpnia o zmroku dojechaliliśmy w pozycji stojącej na teren obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Plac przed wagonami był mocno oświetlony reflektorami i płomieniami z pobliskich krematoriów. Reflektory oślepiły. Nie można było dojrzeć twarzy Niemców ani ludzi w pasiakach, widać było tylko wojskowe buty z cholewami i nogawki pasiaków więźniów. Słychać było ujadanie psów. Mój ojciec szybko uzgodnił z mamą, że wyskoczy i pomoże nam wyjść z bardzo wysokiego wagonu. Gdy tylko opuścił wagon, natychmiast go zabrano i nigdy już go nie zobaczyłam. Nie pamiętam, w jaki sposób zeszyliśmy z mamą. Tłum kobiet i dzieci skierowano w stronę ognisk, z których wydobywał się duszący smród i wysoko wyskakiwały iskry. Droga, którą nas pędzono oświetlona była płomieniami. Po prawej stronie piętrzyły się sterty garnków, butów, walizek i mokrych szmat. Hałdy te były tak wysokie, że sięgały chyba drugiego piętra. Wpędzono nas do dużego baraku, w którym zostaliśmy tak upchnięci, że trudno było usiąść lub uklęknąć na piachu. W tych warunkach każdy musiał załatwiać potrzeby fizjologiczne tam gdzie stał.

Po dwóch dniach wieczorem otworzono baraki i kazano rozebrać się do naga, a kosztowności umieścić w wiklinowych koszach. Następnie skierowano nas do sauny. Matki żegnały się z dziećmi i rodziną. Z trudem docierało do mojej świadomości straszne i niewiarygodne przypuszczenie, że być może jest to nasza ostatnia droga. W pomieszczeniach sauny więźniarki tępymi maszynkami goliły nam głowy, a dorosłym też inne miejsca owłosione. Po drodze trzeba było przejść przez wgłębienie w podłodze napełnione lizolem i zamoczyć w nim nogi, głowę i miejsca po owłosieniu. W pomieszczeniach, gdzie wisiały natryski, wszyscy byli pełni strachu i niepewności, czy popłynie woda czy gaz. Była to jednak zimna woda. Po tej kąpieli biegliśmy tunelem, wzdłuż którego stały więźniarki i kolejno wydawały nam ubranie, to znaczy jakies brudne szmaty, koszule i sukienki, nie zwracając uwagi na

rozmiar. Sukienki miały wszyte na plecach kwadraty z wymalowanymi czerwonymi pasami. W kolejności wychodziłyśmy na otwarty lagier. Noc była zimna i mglista, a my nie miałyśmy włosów i byłyśmy odziane w mokre szmaty. Trudno nam było wzajemnie się rozpoznać.

Rano przeprowadzono nas na lagier FKL, gdzie odbył się spis i nadanie numerów więziennych. Nie tatuowano nam ich. Ja otrzymałam numer 86144. Było nam bardzo zimno. Moja mama upadła i straciła przytomność. Kiedy leżała na ziemi bardzo płakałam, że nie mogę jej pomóc. Po kilku godzinach przyszła lekarka z pielęgniarką, obydwie w pasiakach. W tym tłumie miałam niewielką szansę doprosić się, aby zobaczyły, co się dzieje z moją mamą, która w dalszym ciągu leżała nieprzytomna na ziemi. Po długich prośbach lekarka dotarła jednak do niej. Stwierdziła skręt kiszek. Po około godzinie przyszły cztery więźniarki, położyły mamę na noszach i odeszły z nią. Pozostałam sama w stanie skrajnej rozpacz. Po zakończeniu spisu ogłoszono, że dzieci do lat 14 mają ustawić się piątkami i odprowadzono nas do bloku nr 16A. Blok ten dzielił się na cztery sztuby. Kazano nam zmieścić się po sześcioro na jednej koi. Koja była przegrodą z brudnymi kawałkami koców do przykrycia. Zamknięto nas na okres kwarantanny trwający 12 dni. Wychodziłyśmy tylko na kilkugodzinne apele i celapele. Apel polegał na liczeniu więźniów, zaś celapel zwoływano, gdy zamierzano wywieźć część ludzi z obozu. Nigdy nie było wiadomo, czy następny apel nie okaże się tym, po którym część z nas skierują do zagazowania. Blok dzielił się na cztery sztuby. Pierwszą sztabą od prawej strony zawiadywała pani Władzia, twierdząca, że pochodzi z Krakowa, ale jej polszczyzna wskazywała co najwyżej na okolice Krakowa. Na drugiej sztabie rządziła pani Krysia, żona przedwojennego oficera, bardzo miła pani, którą Niemcy później przenieśli na oddział karny. Trzecią kierowała siostra Michalina, znana z opiekuńczego stosunku do małych dzieci (byli tu też chłopcy poniżej 6 roku życia). Na trzech wolnych kojach ukryto z polecenia blokowej Romy Ciesielskiej dzieci chore na szkarlatynę, żeby uchronić je przed rewirem i być może gorszym jeszcze losem. Ciesielska, mając w bloku około 500 bardzo różnie zachowujących się dzieci, była dla nich bardzo surowa. Chodziła z pejcem i biła te, które według niej źle się zachowywały. Czwartą sztabową była pani Kama. Zgromadzono tam wiele inteligentnych dziewczynek. Pamiętam koleżanki z mojej koi: Kazia Romanow, Krysia Stefańska, Marysia Kuczyńska, Danusia z ul. Pawiej (nazwiska nie pamiętam) i jeszcze jedna dziewczynka. Koc (szmatę) podarłyśmy na cztery części, mimo że groziła nam za to kara. Niestety, kiedy Danusia poszła na rewir z jedną częścią koca, nie mogłyśmy się już wszystkie przykryć. Brakowało nie tyle Danusi, ile tego kawałka koca. Pamiętam też inne dziewczynki z bloku: nieżyjącą już Helenkę Bazylak (później Osak), która spała naprzeciwko mnie, Basię (obecnie Przybylską), Irkę Pacek (obecnie Kotkowską), Danusię i Kysię Walko (obecnie Jastrzębską i Wiśniewską), Basię (obecnie Pankowską) i Basię (obecnie Makarewicz) chorą wówczas na guz płuca, która jednak szczęśliwie doszła potem do zdrowia.

Do dziś pamiętam epizod z pyzą kartoflaną, związany z osobą Eli Gremblickiej. Na teren lagru przychodzili niekiedy elektrycy, hydraulicy bądź cieśle, którzy przy okazji wykonywania różnych napraw, mając dostęp do różnych części obozu, pewnego dnia przynieśli kartofle. Sztabowe ugotowały pyzy i ci mężczyźni przyszli na poczęstunek. Po drodze najbliższej znajdowała się koja, gdzie leżała Ela Gremblicka i przy tej okazji ona też dostała pyzę. Tę pyzę do dziś pamiętam. W bloku były także Józefa i Hanna Gontarczykówny (Józefa – obecnie Barańska) i Janek Kozłowski – wtedy 6-latek. Krótka mieszkała nad moją koją zauważalna, bo nad wiek (13 lat) wysoka i rozwinięta Bożena Krzywobłocka z siostrą Różą. W bloku było ciemno, a wszechobecne robactwo wchodziło do ust, oczu i uszu. Wędrowało stadami po całym ciele. Po zapachu orientowałyśmy się, że to pluskwy. Szczury biegały jak koty.

Przez pierwsze dwa tygodnie nawet nie chciało mi się jeść. Marzyłam o tym, żeby trochę się zdrzemnąć i choć na chwilę uwolnić się od robactwa. Nieustannie martwiłam się o los rodziny, a zwłaszcza mamy, o której nic nie wiedziałam. Dzielne wyżywienie składało się z 1 kawałka chleba grubości ok. 2 cm i czarnej zupy z suszonej brukwi lub jarmużu. Zupy często nie wystarczało dla wszystkich. Drewniane kotły były ciężkie i kucharki nie nalewały nam do pełna wychodząc z założenia, że dzieci nie dadzą rady zbyt wiele udźwignąć. Starzy więźniowie uprzedzili nas, że jeśli chcemy przeżyć, nie wolno nam pić wody. W jednym końcu bloku postawiono kibel, gdzie wszyscy się załatwialiśmy. Trzeba było stać w kolejce i nie zawsze udawało się zdążyć, gdyż wszystkie dzieci miały biegunkę. Latryna ogólna znajdowała się kilka bloków dalej, ale żeby z niej skorzystać trzeba było czekać na zebranie się większej grupy, około 10 osób, wtedy prowadziła nas sztabowa. Często korzystałam z tej okazji licząc na spotkanie więźniarek z innych bloków i uzyskanie wiadomości o mamie. Podczas jednego z celapeli wybiegłam na rewir, by ją odnaleźć, ale tam gdzie szukałam nie było jej. Więźniarki przyrzekły, że dadzą mi znać, jeśli czegoś się o niej dowiedzą, ale nie otrzymałam żadnej wiadomości. Za tę nielegalną wycieczkę na rewir nie zostałam przez Romę Ciesielską ukarana. W porę ostrzeżono mnie i udało mi się tego uniknąć, bo sprytnie włączyłam się w grupę dzieci. Byłam tak podobna do innych, że mnie nie rozpoznała.

W pierwszej połowie września 1944 roku, w pewien pogodny, ale wietrzny dzień stałam na terenie mojej sztuby i patrzyłam przez małe okienko w ścianie koi. Każda osoba zbliżająca się do naszego baraku była dla mnie nadzieją na otrzymanie wieści o mamie. Bardzo na to czekałam, zwłaszcza że obiecała mi to więźniarka, polska lekarka zatrudniona na rewirze. Przyglądając się wytrwale wszystkim osobom znajdującym się w pobliżu dostrzegłam wchodzących do naszego bloku dwóch mężczyzn w pasiakach. Jeden, średniego wzrostu, niósł dwa kubelki, drugi – niższy trzymał jakieś narzędzia. Byłam bardzo zawiedziona, że w dalszym ciągu nie dostałam żadnej informacji o mamie. Niższy pan przystąpił do pracy. Na bocznej ścianie namalował chłopca z tornistrem idącego dróżką w kierunku jednopiętrowego budynku, prawdopodobnie szkoły i drugie dziecko bawiące się nieopodal jazdą konną. Na następnej ścianie ukazał biegnącą po zielonej trawie dziewczynkę z lalką i dziecko ciągnące za sobą zabawkę na kółkach.

Dopiero w połowie września, kiedy znajdowałam się w tłumie dzieci prowadzonych do sauny, ktoś zwrócił moją uwagę na osobę wołającą mnie po imieniu. Zobaczyłam kobietę, w której z trudem rozpoznałam moją mamę. Była prawie naga, odziana tylko w szary koc. Nie wiedząc jak to załatwić i co powiedzieć, żeby dostać się do bloku matek sąsiadującym z blokiem dziecięcym, została skierowana do bloku przeznaczonego do wywiezienia. Jednak wtedy okazało się, że chcieli też nadprogramowo wyjechać niektórzy członkowie rodzin osób przeznaczonych do transportu, żeby być razem. Dla obsługi obozowej ważne było tylko, żeby liczba się zgadzała. Toteż zamieniono osoby z transportu i tym sposobem szczęśliwie w bloku matek znalazła się moja mama. Przebywała tam jednak tylko tydzień. Potem matki przeniesiono na obóz cygański, gdzie były zatrudnione przy pleceniu warkoczy. Chodziły do pracy daleko i po drodze miały okazję znaleźć parę użytecznych rzeczy. Pamiętam, że kiedy sandały rozleciały mi się od ciągłego chodzenia, mama przyniosła mi buty – jeden chłopięcy, drugi dziewczęcy. Nareszcie miałam prawdziwe buty.

Przez pewien czas w obozie nie miałam majtek. Kiedy mamie udało się znaleźć sweterek, najpierw uprałam go w gorącej wodzie uzyskanej ze stopionego śniegu, następnie zszyłam przód, a w rękawy włożyłam nogi i miałam majtki, w których chodziłam do przyjazdu do Berlina.

Pewnego wrześniowego dnia, jeszcze na FKL-u, odbył się w naszym bloku przegląd 4 dzieci, podczas którego zastępca komendanta obozu razem z doktorem Mengele i jeszcze jednym lekarzem wybrali większe dziewczynki i stworzyli 2 grupy. Jaki był cel tego przeglądu, podczas którego byliśmy nagie – wtedy nie wiedziałam, ale sprawdzali nam wtedy wszystko, nawet kręgosłupy i oczy. Ja sama od chwili rejestracji, zgodnie ze wskazówkami mamy mającej nadzieję, że młodsze dziewczynki będą lepiej traktowane, ukrywałam swój wiek. Miałam 15 lat, ale podawałam że mam 13. Nic to jednak nie dało. Wrzesień był bardzo wietrzny i ciężko było stać aż do odwołania na apel, zwłaszcza w deszczowe dni, bo teren był błotnisty. Wkrótce wszystkie dzieci zachorowały. Najczęściej występującymi objawami była podwyższona temperatura, kaszel, krosty na całym ciele i biegunka. Dodatkowo jeszcze mieliśmy świerzb. Wszystkim nam ropiały oczy, co prawdopodobnie było związane z zakażeniami spowodowanymi przez wchodzące do oczu pluskwy. Dlatego kiedy wezwano nas na badania początkowo myślałyśmy, że chcą nas leczyć. Brano na rewir po 10-12 osób. Prowadziła nas pielęgniarka Maria, czasem sztabowa. Blokowa powiedziała nam kiedyś, że testują na nas leki w ramach eksperymentów, ale ona pilnowała tylko, kto ma iść. Poza zakraplaniem jakichś preparatów do oczu pamiętam zastrzyk, pobranie krwi, proszki, które kazano mi połykać. Zabiegi te powtarzano kilkakrotnie w pewnych odstępach czasu. Personel składał się z mężczyzny, blondyna, który brał udział w opisanym powyżej przeglądzie i gładko uczesanej ciemnowłosej kobiety, ubranej w granatowe spodnie, a właściwie niemieckie, wojskowe spódnico-spodnie. Rozmawiali między sobą po niemiecku. Wzywano nas po jednej lub po dwie. Czekaliśmy na korytarzu w kolejce. Blok, w którym wykonywano te eksperymenty różnił się od rewiru tym, że miał okna.

W tych warunkach przetrwałam do 12 stycznia 1945 roku. Wtedy, podczas celapelu, odbywającego się w bardzo śnieżny wieczór, wywołano część dzieci, które miały się ustawić pod blokiem. Do tej grupy doprowadzono nasze matki. Znowu po długim czasie byłam razem z mamą. Całą noc staliśmy na dworze. Dopiero rano wywieziono nas do Berlina. Był to jedyny transport, który przybył do samego Berlina. Kiedy wyszliśmy na Friedrichstrasse, w pasiakach i ze sztrajfami, wzbudziliśmy wśród Niemców nie lada sensację. Pytali nas, skąd jesteśmy, a my powiedzieliśmy, że z Warszawy, ale że znaleźliśmy się tu prosto z Auschwitz--Birkenau. Nie jest dla mnie wiarygodne twierdzenie, że Niemcy mogli nic nie wiedzieć o obozach. Jednak ludzi z następnych transportów wysadzano już pod Berlinem, a przedtem dawano im coś innego do ubrania. Początkowo Niemcy sprawiali wrażenie, że nie bardzo wiedzą co z nami zrobić. Wreszcie zawieziono nas do obozu Blankenburg-Berlin. W dzień ciężko pracowaliśmy przy odgruzowywaniu Berlina. Przeżywaliśmy tam kilka razy na dobę (także nocami) alianckie naloty dywanowe. W nocy uciekaliśmy do prowizorycznych schronów wykopanych w ziemi. W czasie dziennych nalotów kryliśmy się gdzie popadło, czasem nawet pod chwiejącymi się murami budynków, co było bardzo niebezpieczne. Do prawdziwych schronów mieli wstęp tylko Niemcy.

Wojna miała się ku końcowi, więc były problemy z zaopatrzeniem w żywność. Na ułożonych z kilku cegieł paleniskach kobiety gotowały co udało im się znaleźć, przeważnie przemarznięte kartofle. Był też sklepik z sałatkami, ale były one obrzydliwe, maziste i o podejrzanym składzie. Nawet raz znalazła się w tej sałatce żaba. Sklepik ten znajdował się poza terenem obozu, trzeba było poprosić wartowników albo wracając z odgruzowywania trochę kluczyć, żeby do niego dotrzeć. Po znalezieniu żaby w sałatce już z niego nie korzystaliśmy.

23 kwietnia weszli do Berlina Rosjanie. Warty obozowej już nie było. Opuściliśmy teren i nie wiedząc, gdzie się skierować, szliśmy w stronę strzelających „katuszy”. Mijając po drodze tysiące zabitych ludzi i zwierząt, dotarliśmy pieszo do Odry. Tam trzeba było czekać cały dzień, ponieważ był jeden pontonowy most, po którym najpierw musiały przejechać wszystkie wojskowe ciężarówki. Odra była czerwona od krwi, w jej wodach wielu zabitych. Na drugim brzegu – wiele zwłok ludzi, którzy zginęli pełniąc jakieś zadania, na przykład widać było zaskoczonych przez śmierć czterech sanitariuszy niosących nosze z rannym. Od Odry do Morąga przewiozły nas dwa polskie samochody wojskowe, jadące tam po benzynę. W Morągu wojsko pędziło krowy i mama, która umiała je wydoić, zgłosiła się do pomocy. Tym sposobem miałyśmy mleko. Nie mogłyśmy wyruszyć w dalszą drogę, ponieważ byłam cała pokryta wrzodami. Nawet między pośladkami miałam duży ropień, który uniemożliwiał chodzenie. Przy całkowitym braku leków i opieki medycznej musiałam pewien czas przeleżeć. W jakiś czas potem dotarliśmy do Chorzowa.

Do Warszawy wróciliśmy 17 lipca 1945 roku po ciężkiej podróży, częściowo odbytej pieszo, częściowo pociągiem, do którego z trudem zdołałyśmy się zmieścić. Stałyśmy prawie nagie i bose przy tym, co zostało z naszego prawie doszczętnie spalonego domu. Na bramie było mnóstwo nalepek mówiących o losach lokatorów. Mama była ciężko chora, ja zaś – jeszcze nie dorosła, a już nie dziecko – też wymagająca leczenia, nie nadająca się do pracy i po takich przeżyciach! Znajomi przyjęli nas na jedną noc. Nie było wyboru – zajęłyśmy wypalone mieszkanie bez okien i drzwi na drugim piętrze. Mieszkałyśmy tam do 1949 roku.

Pierwsze lata bez ojca były bardzo ciężkie. Dowiedziałyśmy się, że został wywieziony z Oświęcimia do Nazweiler, gdzie zginął 16 października 1944 roku. Co do mnie – musiałam się leczyć, żeby przywrócić okres wstrzymany w obozie. Z powodu ciężkiej sytuacji materialnej wcześniej wysłam za męża. Wydawało mi się, że zapewni mi to większe poczucie bezpieczeństwa. Po wojnie nie mogłam ukończyć szkoły zasadniczej, do której uczęszczałam w latach 1947-49 w Ogrodzie Saskim, gdyż musiałam pracować, aby utrzymać rodzinę. Dopiero w 1967 roku ukończyłam zawodową szkołę ekonomiczną. Do 1984 roku przez 25 lat byłam pracownikiem handlu, kierownikiem sklepu. Myślę, że przeżycia wojenne i obozowe były przyczyną nie tylko trudnej sytuacji materialnej, ale też mojego obecnego stanu zdrowia. Jestem chora na cukrzycę, poza tym miewam, szczególnie wieczorami, astmatyczne ataki kaszlu.